

ROGER ZELAZNY – PISARZ, KTÓRY WYPRZEDZIŁ EPOKĘ

NOWA Fantastyka

10 (373) 2013 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



JUŻ W SPRZEDAŻY

STEPHEN KING

I JEGO DYNASTIA

CZŁOWIEK NA
KOSMICZNYM
ROZDROŻU

LUCYFER
– KOMIKSOWY
DIABEŁ

OPOWIADANIA:

WILL MCINTOSH

JACK SKILLINGSTEAD

THOMAS OLDE HEUVELT

LENA SZUSTER

KAMIL KOWALCZYK

CARRIE

ZAPAMIĘTAJ JEJ IMIĘ

W KINACH OD 18 PAŹDZIERNIKA



PROSZYŃSKI
MEDIA

©2013 Metro-Goldwyn-Mayer Pictures Inc.
and Screen Gems, Inc. All Rights Reserved.

ISSN 0867-132X



10
INDEX 358398

9 770867 132305



04

Joe i Owen Kingowie odziedziczyli po ojcu nie tylko specyficzną urodę, lecz także bakcyła pisania.



07

Nie ma na świecie drugiego takiego pisarza, który jak King uosabiałby sobą cały rynek wydawniczy.



12

Ten diabeł ma dwóch ojców: Neila Gaimana i Mike'a Careya. Pierwszy go stworzył, drugi opisał jego losy w „Lucyferze” – jednej z najlepszych komiksowych serii ostatnich lat.



14

Gdyby stworzyć superkomputer porządkujący fantastykę względem ściśle określonych kryteriów, miałby on szczególnie problem z jednym autorem – Rogerem Zelaznym.

PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 VOX POPULI, CZYLI O WYŻSZOŚCI *Maciej Parowski*
- 4 DYNASTIA KINGÓW *Jakub Matecki*
- 7 DLACZEGO UWIELBIAM STEPHENA KINGA *Robert Ziębiński*
- 10 CZŁOWIEK NA KOSMICZNYM ROZDROŻU *Wawrzyniec Podrucki*
- 12 SYMPATIA DLA DIABŁA *Marcin Zwierzchowski*
- 14 IMIĘ JEGO LEGION *Adam Rotter*
- 63 RADY DLA PISZĄCYCH, ODC. 22 *Michael J. Sullivan*
- 65 GRA CIENI *Marcin Zwierzchowski*
- 72 STRATEGIA CYŁOŃSKA *Peter Watts*
- 73 FANTASTYCZNA PROZA ŻYCIA *Rafał Kosik*
- 75 WIĘZI *Maciej Parowski*
- 78 DYSKRETNY UROK TEORII SPIKOWYCH *Łukasz Orbitowski*

PROZA POLSKA

- 17 PIEŚN BRAZU *Kamil Kowalczyk*
- 30 SZTUKA LATANIA *Lena Szuster*

PROZA ZAGRANICZNA

- 39 CHŁOPIEC, KTÓRY... *Thomas Olde Heuvelt*
- 48 OBROŃCY *Will McIntosh*
- 56 TO, CO ZA CHWILĘ UJRZYSZ *Jack Skillingstead*

RECENZJE

- 66 KSIĄŻKI 74 FILM/GRA 76 KOMIKS



foto J. Luthas

UWERTURA

Tradycja nakazuje, żeby redaktor obejmujący stanowisko naczelnego złożył deklarację, jak wyobraża sobie pismo za swojej kadencji. Muszę przyznać, że zżera mnie w tym momencie trema, a stoi przede mną zadanie z gatunku tych trudnych. Ten wstępniak, jak uwertura dzieła muzycznego, powinien zawierać wszystkie ważne motywy i sprawić, że słuchacz zapragnie więcej.

Jestem redaktorem „Nowej Fantastyki” już od ponad siedmiu lat i przez ten czas stała się ona dla mnie czymś więcej, niż tylko miejscem pracy. Chciałbym, żeby dla Was również była więcej, niż zwykłym produktem – żebyście widzieli w niej przyjaciela, z którym będziecie się regularnie spotykać, aby ukazywał Wam bogactwo i różnorodność świata wyobraźni. Zależy mi na tym, żeby „NF” skupiała wokół siebie jak największą społeczność fanów fantastyki – zarówno tych doświadczonych, jak stawiających pierwsze kroki w gatunku; zwolenników science fiction, fantasy, horroru i wszelkich innych odmian; wydawców, twórców i odbiorców; czytelników, widzów, komiksarzy, graczy... jednym słowem: wszystkich. Chciałbym, żeby nasze czasopismo łączyło i pozwalało rozwijać fantastyczne pasje w gronie ludzi Wam podobnych – na łamach papierowego wydania, na naszej stronie internetowej, Facebooku, konwentach itd. Dyskutujcie, wymieniajcie się doświadczeniami i opiniami – im więcej ich jest, tym łatwiej nam dostosować „Nową Fantastykę” do Waszych potrzeb.

Na okładce „NF” widnieje dopisek „miesięcznik miłośników fantastyki”. I właśnie w tym tkwi sedno: to jest Wasz magazyn i od Was zależy, czy będzie miał rację bytu i utrzyma się na rynku. Redakcja może mieć wizję, pomysły i szumne programy, a w ostatecznym rozrachunku i tak wszystko zweryfikuje czytelnik, który sięgnie po czasopismo, albo wysła je w niebyt. Jeśli zatem wierzycie, że „Nowa Fantastyka” jest potrzebna, kupujcie ją i zachęcajcie znajomych, aby było nas jak najwięcej. Bądźcie z nami, a my dokończymy wszelkich starań, żeby być tu dla Was.

Milej lektury!

Jerzy Rzymowski

W NASTĘPNYM NUMERZE:

Aeternitas
Karol Nowacki
Rok szczura
Chen Giufan

FANTASTYKA WYDANIE SPECJALNE 4/2013
OD 24 PAŹDZIERNIKA



KLĘSKA URODZAJU

Po krótkim okresie posuchy, gdy zdarzały się miesiące bez ani jednej ciekawej książki czy choćby chudziutkiego komiksu, nadchodzi październik, który sprawi, że wielu miłośników fantastyki rozbije swoje świnki skarbonki.

Stosunkowo najmniej wydamy na kino, bo z naszego „podwórka” mamy tylko dwie produkcje, a więc „**Carrie**” – nową wersję ekranizacji debiutanckiej powieści Stephena Kinga – oraz „**Gravitację**” z Sandrą Bullock i George'em Clooney'em, w reżyserii Alfonso Cuaróna. Film ten zbiera niesamowicie entuzjastyczne recenzje, zwiastuny zapowiadają zaś wizualną perełkę. Wygląda na to, że warto wybrać się do kina i zobaczyć go na dużym ekranie.

Zdecydowanie bardziej ucierpią portfele miłośników komiksów, zwłaszcza jeżeli są fanami Mrocznego Rycerza. Nie dość, że otrzymają „**Batmana. Miasto sów**”, a więc kontynuację „Trybunału sów”

z serii Nowe DC Comics, to jeszcze na pewno zechcą kupić blisko czterystustronicowego „**Batmana. Długie Halloween**”. Na dokładkę zaś wszyscy nabędą czwarty tom klasycznej serii – „**Ligę Niezwykłych Dżentelmenów. Czarne akta**” Alana Moore'a i Kevila O'Neila.

Lamenty kinomanów i komiksiarzy zostaną jednak zagłuszone płaczem książkoholików, gdy ci uświadomią sobie, jak wiele ciekawych propozycji ukaże się w październiku. Ukontentowani będą fani Percy'ego Jacksona (który powróci w „**Domu Hadesa**” Ricka Riordana), podobnie jak czytelnicy serii „**Zwiadowcy**” – tom 12 ma być ostatnim w cyklu! – oraz książek z uniwersum Metra 2033, tym razem wzbogaconego powieścią „**Za horyzont**” Andrieja Diakowa (rec. na str. 68). Wreszcie, po bardzo długim oczekiwaniu, do naszych rąk trafić ma także „**Republika złodziei**” Scotta Lyncha, a więc trzecia odsłona cyklu „**Niećni Dżentelmeni**”.

Na tym nie koniec hitowych premier. Najnowsze powieści zaprezentują Krzysztof Piskorski (więcej o „**Cieniorycie**” na str. 65), Łukasz Orbitowski („**Szczęśliwa ziemia**”) i Anna Kańtoch („**Tajemnica diabelskiego kręgu**” to pozycja dla młodszych czytelników). A także Neil Gaiman (choć akurat jego „**Ocean na końcu drogi**” już czytałem i mimo jak najbardziej pozytywnych wrażeń, kapci mi z nóg nie zrzuciło; rec. Jerzego na str. 70) i Kim Stanley Robinson, którego „**2312**” zostało uhonorowane Nebulą.

Osobiście niezwykle uważnie przyjrzyć się także książce „**Croak**” nieznaney w Polsce Giny Damico – Jerzy Rzymowski czytał tę pozycję już jakiś czas temu i od tej pory chwali ją przy każdej okazji. Bez okazji zresztą też. Jeśli okaże się złe, będzie na niego!

Marcin Zwierchowski

NA PAŹDZIERNIK POLECAMY:

KSIAŻKI



Orbitowski Łukasz, „Szczęśliwa ziemia”

– opowieść o konsekwencjach spełnionych życzeń.



Gaiman Neil „Ocean na końcu drogi”

– pierwsza od lat powieść Gaimana dla dorosłych.

FILM



„Gravitacja”

– Sandra Bullock i George Clooney w kosmosie. Krytycy są zachwyceni.

KOMIKS



„Batman. Długie Halloween”

– cudownie obszerny album o Mrocznym Rycerzu.



DYNASTIA KINGÓW

JAKUB MAŁECKI

Stephen King zbliża się do siedemdziesiątki, ale ani mu w głowie przełamanie pióra. Niestrudzony mistrz horroru z Maine oddaje wydawcy średnio jedną książkę rocznie i nie wygląda na to, by szybko miało się to zmienić. Na każdego przychodzi jednak pora i kiedyś stary Stevie przekroczy wreszcie granicę, poza którą od czterech dekad tak chętnie wysyła swoich bohaterów. Co wtedy z tłumami jego zagorzałych fanów? Być może literackiej pociechy nie będą musieli szukać zbyt daleko. Dwaj synowie Kinga, **Owen i Joe**, rozpędzają bowiem swoje pisarskie kariery. I obaj wydali w tym roku nowe powieści.

POTRZEBA OPOWIADANIA

Synowie Stephena Kinga wyglądają jak wyciągnięte z niego matrioski, na dodatek mówią i gestykulują dokładnie jak on. Oglądając przeprowadzane z nimi współcześnie wywiady, można odnieść wrażenie, że nagrania pochodzą sprzed trzydziestu lat, a na pytania dziennikarzy odpowiada sam Stephen. Owen i Joe odziedziczyli jednak po ojcu nie tylko fizjonomię. Od dłuższego czasu obaj podążają jego zawodowymi śladami – pierwszy wydał jak dotąd dwie, a drugi cztery książki.

Nie wolno pominąć w tym miejscu wpływu, jaki na rozwój młodych Kingów miała zapewne żona Stephena, **Tabitha**, która również zajmuje się pisaniem książek. Młodzi Kingowie przyznają, że dorastanie w domu, gdzie ojciec i matka całymi dniami stukali



Owen King

**JOE I OWEN KINGOWIE
ODZIEDZICZYLI PO OJCU NIE
TYLKO SPECYFICZNĄ URODĘ,
LECZ TAKŻE BAKCYLĄ PISANIA.**



Joe Hill

DLACZEGO UWIELBIAM STEPHENA KINGA?

ROBERT ZIĘBIŃSKI

NIE MA NA ŚWIECIE DRUGIEGO TAKIEGO PISARZA, KTÓRY JAK KING UOSABIAŁBY SOBĄ CAŁY RYNEK WYDAWNICZY.



Kiedy w prasie pojawia się pytanie sformułowane tak, jak w tytule, możecie być pewni trzech najbardziej wyświechtanych odpowiedzi. Pierwsza brzmi: *uwielbiam Kinga, bo jest mistrzem narracji*. Owszem, mistrzem jest, ale czy jedynym we współczesnym świecie? Nie sądzę. Jest zresztą wielu innych pisarzy, którzy radzą sobie z narracją równie dobrze jak on – tu z miejsca przychodzi mi do głowy wciąż niedoceniony w Polsce Peter Straub, znany u nas głównie z faktu, iż napisał dwie książki... z Kingiem.

Druga odpowiedź brzmi: *uwielbiam Kinga, bo jest królem literackiego horroru*. Jest mistrzem, to nie ulega wątpliwości. Ale nie niedoścignym. Żyjemy w specyficznym kraju, w którym gatunek literacki zwany horrorem jest przekleństwem wydawców, a nie błogosławieństwem. Po tym, jak w latach 90. ubiegłego wieku przez księgarnie przetoczyła się lawina szmatławych powieści grozy, rynek się nasycił. I ten stan utrzymuje

się do dziś. Horrorzy nie sprzedają się tak, jak powinny, co potwierdzi każdy wydawca w Polsce (a jeśli twierdzi inaczej, zwyczajnie kłamie). Dobrze sprzedają się oczywiście u nas King, Masterton czy... No właśnie. Oto, co się stało z boomu horrorowego: światowa gwiazda i taki nasz horrorowy odpowiednik Jonathana Carrolla. Clive Barker – umarł dla polskich czytelników dawno temu. Peter Straub nie miał szans zaistnieć. Ramsey Campbell, Jack Ketchum... Tę listę moglibyśmy ciągnąć w nieskończoność. Dobrze sprzedaje się Dean Koontz, ale zwróćcie uwagę na drobny szczegół: jego powieści w Polsce opatrzone są szyldem *thriller*. Chcesz się u nas sprzedawać – uciekaj jak najdalej od nazwy *horror*.

Wreszcie trzecia odpowiedź: *uwielbiam Kinga, bo pod płaszczykiem grozy snuje opowieści o ludziach i małych amerykańskich miasteczkach*. Taaa... Jakby on jedyny.

Dobra, ale ta przydługa dygresja miała do czegoś prowadzić. Do odpowiedzi na pytanie: dlaczego uwielbiam Stephen Kinga?

KARIERA PRZEZ WYTRWAŁOŚĆ

Otóż uwielbiam Stephen Kinga z jednego prostego powodu. Nie ma na tym świecie drugiego takiego pisarza, który jak King uosabiałby sobą cały rynek wydawniczy. Kiedy myślę King, nie myślę groza, psychologia postaci, narracja. Myślę – historia wydawnicze-

CZŁOWIEK NA KOSMICZNYM ROZDROŻU

WAWRZYNIEC PODRZUCKI

W „TRYLOGII MARSJAŃSKIEJ” KIMA STANLEYA ROBINSONA KOLONIŚCI PODOBNĄ DO STAREJ, ŻE PRZECIĘTNY WARSZAWIAK MÓGŁBY SIĘ TAM DANA SIMMONSA I INTRUZÓW – ODŁAM LUDZKOŚCI, KTÓRY WĘDRUJE

Wspomniane powieści to przykłady dwóch różnych perspektyw, z których można patrzeć na ewentualną kosmiczną przyszłość naszego gatunku – obce światy przystosowane do nas vs. my przystosowani do obcych światów. Jednak bez względu na opcję, jaką wybierzemy, jedno wydaje się pewne: bez grzebania w genach – bakteryjnych, roślinnych, zwierzęcych, a być może i naszych własnych – tak czy siak, chyba ani rusz.

GENY ASTRONAUTÓW

Weźmy tego przykładowego Marsa. Przy zastosowaniu obecnych technologii lot w jedną stronę to minimum sześć miesięcy. Według danych radiometrycznych, zgromadzonych *en route* przez łazik Curiosity, całkowita dawka promieniowania, na jaką astronauta byłoby w tym czasie narażeni, mocno przekracza dopuszczalne dla ludzi normy. A to tylko jedna z niewygód, eufemistycznie rzecz ujmując. Nie dziwią zatem intensywne testy, którym poddaje się potencjalnych astronautów, mające na celu wybranie tych najlepiej predysponowanych do kosmicznych wojaży. Ale jak dotąd nikt ich nie badał pod kątem predyspozycji genetycznych i, jak twierdzą Michael Schmidt z MetaboLogics w Fort Collins oraz Thomas Goodwin z Johnson Space Center w Houston, najwyższy czas to zmienić. Wiadomo na przykład, że pewne mutacje zmniejszają stabilność DNA, tym samym zwiększając wrażliwość ich nosicieli na promieniowanie jonizujące. Wybór przed kandydatami z owym defektem jest trojaki: w ogóle zrezygnować z latania w Wielki Kosmos, zaopatrzyć się w odpowiednio duży zapas tabletek z kwasem foliowym (którego niedobór potęguje efekty rzeczonoj mutacji), albo...

Albo poddać się **terapii genowej**, która tę skazę z naszego organizmu usunie. Skoro zaś tę, to czemu nie wyeliminować również innych, utrudniających nam przekształcenie się w gatunek o prawdziwie kosmicznym zasięgu? Bo nasza wiedza w tej materii jest wciąż niewystarczająca. Ryzyko, że prędzej w człowieku coś zepsujemy, zamiast poprawić,

jest na razie zdecydowanie za duże. Poza tym, znając przewrotność ewolucji, geny, które teraz wyglądają na zbędne bądź zgoła szkodliwe, dla przy-

pionierów pozwoli na przeżycie w zamkniętych, samowystarczalnych habitatach stosunkowo długo. Ale nie *ad infinitum*. Jeżeli człowiek będzie chciał utrwalić swą marsjańską obecność na wieki, prędzej czy później zostanie zmuszony do wyjścia spod kopuł na zewnątrz. I nie w ciężkich skafandrach ani hermetycznych transporterach, bo żadna to frajda poruszać się

w ten sposób po własnym domu. Nie mówiąc o tym, że cały sens kolonizowania innych planet diabli biorą, skoro to samo, tylko dużo szybciej i praktyczniej, można osiągnąć budując orbitalne miasta O'Neila.

Sęk w tym, że na zewnątrz jest... no, raczej mało przyjemnie. Skrajnie sucho, cholernie zimno i zupełnie jałowo. Ciśnienie gorzej niż mizerne, tlenu brak, ech... co zrobić z taką pustynią?

Opcji mamy kilka. Pierwszą, na pozór najbardziej oczywistą, bo i też najczęściej przez autorów SF eksploatowaną, jest **terraformowanie**, czyli kompleksowy (i jak na razie czysto spekulatywny) proces przerabiania martwych globów w żywe repliki Ziemi. Proces, podczas którego bioinżynierowie mieliby pełne ręce roboty.

Przede wszystkim, sprawa tlenu. Tę w skali planetarnej można załatwić, wprowadzając najpierw genetycznie ulepszone cyjanobakterie, porosty i wątrobowce, a w następnej kolejności odpowiednio zmodyfikowane trawy. Tym sposobem uzyskalibyśmy nie tylko tlen, ale również zaczątek prawdziwej gleby.

Kolejna rzecz, temperatura. Orbitalne zwierciadła i geotermia są w porządku, lecz jeszcze lepiej powinny się spisać mikroorganizmy przerobione na fabryki metanu czy nawet freonów, gazów cieplarnianych wielokrotnie potężniejszych od CO₂. Następnie, zagęszczanie



szłych pozaziemskich kolonizatorów mogą się okazać nieoczekiwanym atutem. Nigdy nic nie wiadomo.

PROJEKT „ZIEMIA BIS”

Wiadomo tylko, że to, co na chwilę obecną możemy, to wysłać optymalnie wyselekcjonowanych ludzi w blaszanym pudle, z nadzieją, że nic złego im się po drodze nie przytrafi. Możemy również postarać się o skrócenie im czasu lotu, zastępując napęd chemiczny np. jądrowo-plazmowym. Tudzież zaopatrzyć w technologię, która kilkusetosobowej grupie

SYMPATIA DLA DIABŁA

TEN DIABEŁ MA DWÓCH
OJCÓW: NEILA GAIMANA
I MIKE'A CAREYA.
PIERWSZY GO STWORZYŁ,
DRUGI OPISAŁ JEGO
LOSY W „LUCYFERZE”
– JEDNEJ
Z NAJLEPSZYCH
KOMIKSOWYCH SERII
OSTATNICH LAT.

MARCIN ZWIERZCHOWSKI



Zaczął się od „Sandmana”. W czwartym tomie komiksowego arcydzieła ze scenariuszem **Neila Gaimana** tytułowy bohater, Sen z Nieśmiertelnych, wybrał się do Piekła, by naprawić pewien błąd ze swojej przeszłości. Problem w tym, że gdy poprzednio odwiedził dominium Lucyfera, wdał się z nim w spór, upokarzając go na oczach poddanych. Gdy więc podjął decyzję powrotu do Inferna, ogarnęło go uczucie, które odczuwa niezwykle rzadko: lęk.

Wedle jego własnych słów, Lucyfer jest najwspanialszym dziełem Stwórcy, najpiękniejszym, najmądrzejszym i najsilniejszym spośród aniołów, prawdopodobnie potęgą ustępuje tylko temu, którzy tchnął w niego życie. Piekłem włada od 10 000 000 000 lat, od momentu, gdy zbuntował się przeciwko Bogu, co miało miejsce trzy sekundy po akcie Stworzenia. Wbrew przekonaniom ludzi, których idiotyczne wymysły na jego temat tylko denerwują Gwiazdę Żaranną, to nie on stworzył swoje dominium – raczej ono narodziło wokół niego. Nie zależy mu też na duszach, nie schodzi na Ziemię, by nimi kupczyć, nigdy też nikogo do niczego nie zmusił, możecie więc przestać zrzucać na niego odpowiedzialność za wszystkie swoje złe uczynki. No i (na prośbę Gaimana) wygląda jak młody David Bowie.

Gdy pefen obaw Morfeusz zstępuje do Piekła, nie zastaje tam stojących na straży hord demonów, nie czeka też na niego płonący gniewem Niosący Światło. Piekło jest puste, a zmęczony i znudzony Lucyfer nie tylko nie rzuca się na swojego wroga, ale dziękuje mu

za bodziec do działania, po czym wręcza Snowi klucze do opustoszałego Inferna i prosi o obcięcie mu skrzydeł.

Następnie odchodzi, by na australijskiej plaży pracować nad opalenizną i delektować się zachodami słońca.

BUNTOWNIK

Tutaj historia wyzwolonego Diabła się urwała. Neil Gaiman nie kontynuował tego wątku, skupiając się na Sandmanie. Nie zapomniał jednak o Gwieździe Żarannej i – jak opisuje we wstępie do pierwszego tomu „Lucyfera” – gdy jakiś autor zwracał się do niego z prośbą o podpowiedź, kto mógłby być bohaterem samodzielnej serii w Vertigo (imprint DC, wydawca m.in. „Sandmana”, „Lucyfera”, „Baśni”), wymieniał tylko to jedno imię.

Wielu odchodziło niepocieszonych, uznając pomysł za idiotyczny: komiks o diable – a co w tym oryginalnego? W końcu znalazł się jednak pewien śmiatek: **Mike Carey**. Autor w Polsce znany przede wszystkim dzięki cyklowi powieści o egzorcystie Feliksie Castorze zdecydował się napisać scenariusz do sidequela jednej z najwyższej ocenianych serii w historii komiksu.

Zrobił to, bo miał na owego Diabła pomysł – coś, co zostało zasygnalizowane już w „Sandmanie”. Gdy myśli się o władcy Piekła, o tym, co go definiuje, jako pierwsze do głowy przychodzi jedno słowo: zło. Lucyfer powinien być zły. Okrutny, żądny krwi, ze skłonnością do sadyzmu – taki psychopata, tylko z anielską mocą zamiast młotka czy innego narzędzia zbrodni. Wyobrażacie sobie taki komiks? Na pierwszym planie mielibyśmy antybohatera, którego jedynym zajęciem w najgorszym przypadku byłoby knucie przeciw Bogu (idiotyczne, z góry skazane na porażkę działanie), albo w najlepszym – kolekcjonowanie ludzkich dusz, co jednak kłóciłoby się z wizerunkiem Szatana nakreślonym w „Sandmanie”.

Lucyfer Careya został więc buntownikiem, nie definiowanym jednak w opozycji do Boga, ale do dogmatu o jego wszechmocy, dzięki której nic nie dzieje się bez jego wiedzy i zgody. Stał się wcieleniem wolnej woli, jedynym, który naprawdę sprzeciwił się swojemu Stwórcy. Choć – co jest jego tragedią, a co było zasygnalizowane w „Porze mgieł” – tak naprawdę

IMIĘ JEGO

LEGION

ADAM ROTTER

Roger Zelazny

GDYBY STWORZYĆ SUPERKOMPUTER PORZĄDKUJĄCY FANTASTYKĘ WZGLĘDEM ŚCIŚLE OKREŚLONYCH KRYTERIÓW, MIAŁBY ON SZCZEGÓLNY PROBLEM Z JEDNYM AUTOREM – WYMYKAJĄCYM SIĘ WSZELKIM KLASYFIKACJOM ROGEREM ZELAZNYM.

Jego nazwisko, przywiezione do Ameryki z dalekiego kraju starego kontynentu, stało się synonimem różnorodności w kreacji obcych światów i sposobów ich ukazywania. Otwartość umysłu, umożliwiająca inspiracje zarówno wierzeniami dawnych ludów, jak najnowszymi osiągnięciami techniki, wyprzedzała epokę.

MIĘDZY GATUNKAMI

Wśród niemałego dorobku Zelaznego można odnaleźć zarówno fantasy („*Dilvish Przeklęty*”), jak i SF („*Imię moje Legion*”). Jednak najciekawszy obszar twórczości autora, który on sam półserio określał jako *science fantasy*, rozciąga się pośrodku. Mamy tam zarówno utwory pozwalające na różne interpretacje pochodzenia przedstawionych zjawisk („*Ja, Nieśmiertelny*”), jak te zakładające współistnienie światów rządzących się innymi prawami („*Odmieniec*”, „*Widmowy Jack*”) oraz multiwersa, ze sztandarowym cyklem o *Amberze* na czele.

Przenikanie się myślenia magicznego i naukowego było sednem filozofii Rogera Zelaznego. W eseju „*Fantasy i SF: z punktu widzenia pisarza*” pisał: *nasza wyobraźnia potrzebuje obu tych rzeczy jako paliwa, a pełnia ekspresji wymaga przyznania, że istnieją chaos i ciemność, którym przeciwstawia się suma naszej wiedzy i bardziej popularne tradycje myśli, których jesteśmy dziedzicami*. Kolejni bohaterowie często igrają z oboma żywiołami, łamiąc zasady i znajdując nietypowe rozwiązania problemów. Na przykład książkę Corwin, który wobec dysproporcji sił w wojnie przeciw bratu postanawia zdobyć osadzony w średniowiecznych realiach Amber podstępem, wprowadzając tam karabiny Avalonu. Ten rodzaj rozsądającego konwencje myślenia towarzyszył Zelaznemu przez całe życie. W „*Widmowym Jacku*”, gdy ciemna, czarnoksiężska strona planety widzi w jej wnętrzu

wielką maszynę kierującą światem, jasna, oświecona nauką połowa widzi jądro Ziemi jako domenę wiecznego ognia i lawy. Tą przewrotną metaforą autor wyraża wzajemną tęsknotę obu sił tkwiących w ludzkiej naturze. Żyjąc w niewiadomym i chaosie tęsknimy do uporządkowania i systematyzacji; z kolei naukowe „szkiełko” odkrywające świat nie wyklucza natchnionego fantazjowania. Wprost przeciwnie – inspiruje je.

MIĘDZY KULTURAMI

Wśród twórców fantastyki nie dziwi częste przetwarzanie motywów z mitów, baśni, folkloru. Zelazny prezentował szalony kalejdoskop różnorodnych motywów, często wychodząc poza domyślny dla ówczesnego fantasy europejski krąg kulturowy. I tak podejmował kolejno temat hinduizmu i buddyzmu („*Pan Światła*”), mitologię egipską („*Stwory Światła i Ciemności*”), japońską („*24 widoki góry Fudzi Hokusai*”) i nordycką („*Maska Lokiego*”), wierzenia Indian Navajo („*Oko Kota*”), a nawet na poły żartobliwie mity Cthulhu („*Ciemna noc październikowa*”) – do przeczytania w „*Fantastyce Wydaniu Specjalnym*” 4/2013). Jego multikulturowość i zdystansowane spojrzenie na boskość stały się fundamentalną inspiracją dla urban fantasy – między innymi dla Neila Gaimana, który odwdziaczył się dedykując Zelaznemu „*Amerykańskich bogów*”. W nurcie SF prekursorem obecnej fali orientalnej fantastyki naukowej był „*Pan Światła*”, sugerujący że przyszłość może nie należeć wcale do szeroko rozumianego świata Zachodu, a nowoczesna technologia równie dobrze może być wykorzystana do przywrócenia znaczenia starym wierzeniom.

MIĘDZY STWORAMI ŚWIATŁA I CIEMNOŚCI

Postacie wykreowane przez Zelaznego są nie mniej jednoznaczne i złożone od światów, w jakich przyszło im żyć. Przy kreacji protagonistów autor nawiązywał do archetypu trickstera, buntownika wychodzącego poza ramy prawa i tradycji. Jego bohaterowie często płacą za to cenę – są więzieni, okaleczani, torturowani, zabijani, wskrzeszani, tracą cały dobytek, łącznie z najważniejszym – własną pamięcią i tożsamością. Nie poddają się jednak i walczą dalej, aż do zwycięstwa bądź zatrącenia. Mimo półboskich atrybutów i mocy, obdarzeni są również uroczo ludzkimi ułomnościami, takimi jak nałóg tytoniowy. Nie każdy jest postacią szlachetną; często do końca pozostają w moralnym półcieniu. Motyw cienia dość często zresztą powraca w kolejnych utworach, nie tylko jako jungowska metafora. To w półmroku odnajdujemy (tworzymy?) własne nowe światy, tak jak robili to dziedzice Amberu. Nawet jeśli to, co w nich odkrywamy nie zawsze jest miłe dla oka. Jak powiada Mahasamatman, czyli po prostu Sam z „*Pana Światła*”, do demona Taraki: *albowiem wszyscy ludzie jednakowo pożądają i światła, i ciemności, i w obu tych pier-*

III MIEJSCE W KONKURSIE LITERACKIM „NF”!

PIEŚŃ BRAZU

KAMIL KOWALCZYK

*Ich bin ein Teil von jener Kraft,
die stets das Böse will
und stets das Gute schafft.*

Wojenko, wojenko
Cóżes ty za pani,
Że dla cię są mnogo
Że dla cię są mnogo
Ludzie zabijani?
Wojenko, wojenko
Tyś nie piękną sztuką,
Tyś jeno skrwawioną
Tyś jeno skrwawioną
I zdradliwą suką!

Sasza, 21 kwietnia, 8.11

U Andersa mają taką piosenkę, pozwoliłem ją sobie przerobić, nuciłem z nudów. Siedzimy w Dziupli, ciągle ten sam pokój, zdarte tapety, podłoga zrównana do poziomu betonu, siódme piętro, przez zabite deskami okno przeciska się czasem do nas Dziadek Mróz. Szczypie. Mnie szczypie, Hazelnut twierdzi, że wali ostro, ona jak zwykle o jednym, ale co ma poradzić, jest hiperseksualistką; Magenta cierpi w milczeniu godnym dowódcy, Mozart jak zwykle zachowuje spokój absolutny i nie narzeka.

Frajerzy.

Poza Mozartem; jego żadną miarą nie można nazwać frajerem. Można go nazwać kimkolwiek, nigdy frajerem. Nawet teraz, gdy siedzi bez koszuli w kucki na betonie i z dziecięcą delikatnością rozkręca maszynówkę (MK-9a), i skręca ponownie, i jeszcze raz, i znów, i tak w nieskończoność. Zapytała się go kiedyś Magenta, ile razy to robi na tydzień; odparł, że równo dwieście jednaście, to go uspokaja.

Panienko przenajświętsza, z kim ja jestem w wojsku.

Przez kilka sekund po „suką” panowała głucha, tępa, bezmyślna, martwa, pusta cisza, tłukła się po surowych ścianach beładnie, objęła się, jakby w pijanym widzie, uśmiercił ją Mozart.

– Niezłe.

– Mhm?

– Piosenka.

– Wiem.

Hazelnut unosi wargi w wątły uśmiech, nakrywa twarz tym swoim kiczowatym kowbojskim kapeluszem, przysłuchuje się.

– Ale się z nią nie zgadzam.

– Nie?

– Lubię zabijać.

Odłożył MK-9a na bok, uniósł głowę, i te oczy, puste oczy, głębokie oczy, nieskończone oczy, a równocześnie – płytkie. Ich nieskończoność gdzieś ginie.

– Co? Wszyscy lubimy zabijać. Wiecie o tym. To talent, to dar waszych genów, geny są determinantem także tego. Jedni lubią malować, inni śpiewać, jeszcze inni pisać wiersze. Ja lubię zabijać. I wy też. Uwielbiacie to. Jeśli nie łowy na ludzi, to chociaż łowy same w sobie. Inaczej nie bylibyście w żłobieńcach.

Jak zwykle mówi tym swoim spokojnym, melodyjnym tonem, płynnym i miękkim, aksamitnym, ale nie pretensjonalnym, doskonałym, budzącym dreszcze.

Wzruszam ramionami.

– Może i tak.

– Kontynuuj... – powiedziała ostrożnie Hazelnut, Magenta śledziła wymianę zdań z zainteresowaniem.

– Człowiek to drapieżnik. Lubimy zabijać. Lubiliśmy zabijać i będziemy to wielbić, dopóki nie wyrznie się z nas ludzi do reszty, nie wybije, a to będzie jeszcze gorsze morderstwo. Zabijanie to atawizm. Póki jest możliwość uniknięcia metod siłowych, *homo sapiens* jest cywilizowany. Tłumi swoją główną siłę sprawczą, ogląda mordowanie innych, multimedialnie, podziwia, od czasów wprowadzenia Wirtualności dokonującego sam. Familijnie. Z rodziną. Z dziećmi. Czyta o tym, bawi się tym, podziwia to. Obojętnie. Chce więcej, więcej gore. Potem przypomina sobie, że lubi zabijać gołymi rękoma. I obojętnie. Szaleje, bo nie może przekroczyć tej granicy, wariuje lub zabija siebie. I też obojętnie.

Hazel wzdyga się.

– Jezu, Mozart.

– Nieprawda?

– Prawda. Dlatego... No właśnie. Jezu, Mozart, paskudne.

Magenta zapala papierosa. Zaciąga się. I pyta:

– Mozart, jako psychopata nie masz skrupułów? Żadnych?

– Mam, ja się nimi absolutnie nie przejmuję. Lubię zabijać.

– W kontaktach z Linią to chyba nawet dobrze – odpowiada ona, zaciąga się ponownie, wypuszcza z ust kłęb dymu.

Wywracam oczyma.

– Jezu, naszło was na filozofowanie. Odpieprza nam od bezczynności, i tyle. Ile Woland kazał nam tu siedzieć?

– Pozwól, że ci przypomnę. Jesteśmy na wysuniętym posterunku, w północno-zachodniej części Hamburga, hen, daleko za Linią. Zgarniamy uciekinierów z obozów koncentracyjnych Stephensona i monitorujemy sytuację.

– Monitorujemy sytuację? W ruinach miasta? Gdy posuwała się tu ofensywa Frontu Ludzkości z Atlantyku, i Stephenson równał Hamburg z ziemią, ewakuowano całą ludność na wschód, za EDP [przyp. kontr.: *European Defense Perimeter*; *Perymetr Obrony Europejskiej, ciągnący się od Alp do Odry*]. Tu nic nie ma. Siedzimy beczynnje.

SZTUKA LATANIA

LENA SZUSTER

*Mówiła o zawrocie głowy tak, jakby mówiła o pokusie, która
w pewnej mierze ją fascynuje.
Italo Calvino, „Jeśli zimową nocą podróżny”*

Tej nocy Anna znów śniła o Chemiku.

(Popiół, głód, krew. Ostre zęby).

Obudziwszy się nad ranem, długo leżała bez ruchu, ze smutnym uśmiechem, z rozpostartymi ramionami, przez dziury w dachu obserwując ciężkie, wilgotne chmury. Miały kolor jej oczu. Później wstała, złożyła posłanie i niechętnie sprawdziła zawartość plecaka. Skromne zapasy dowodziły, że już dawno powinna wrócić do Azylu, do siostry, ale chciała po raz ostatni obejrzeć stare fabryki.

Jeszcze jeden dzień, pomyślała. Jeszcze tylko jeden dzień.

Mocniej zawiązała sznurowadła traperek, schowała płowe włosy pod kaptur i wyszła z magazynu, w którym pomieszkiwała od blisko trzech miesięcy. Na zewnątrz martwe miasto rozciągało się od horyzontu po horyzont. Zacinawszy pięści do bólu, przez zmrużone powieki patrzyła, jak popielate, chłodne słońce rozświetla witraże ruin. Zniszczone budynki przypominały kości olbrzymów, jednak nawet wieżowce były śmiesznie małe w porównaniu do ogromu Skał – wysokich na setki kilometrów, sięgających nieba, rzucających lepki, gęsty niczym smoła cień. Anna zadrżała, przypominawszy sobie, jak z krzywym uśmiechem, z ironią w głosie mawiano, że w Miastach na Skałach spełniają się wszystkie marzenia. Wystarczy bardzo chcieć.

Wyjęła z kieszeni jabłko i wgrzyza się w nie łapczywie (przez kilka sekund nic innego nie miało znaczenia: tylko twardy owoc i sok spływający po palcach). Wreszcie szybkim krokiem ruszyła w stronę fabryk, wybierając trasę, którą dobrze poznała w czasie ostatnich tygodni. Gdy dotarła pod zniszczoną, powyginaną bramę, pomyślała, że ze wszystkich dzikich miejsc, które widziała, fabryki są najstraszniejsze.

Przez moment balansowała na stopach, przenosząc ciężar z palców na pięty. Potem przeszła przez żelazną furtę i znalazła się w krainie skomponowanej z odprysków czerni: zakrzepła lawa pokrywała wykrzywione budynki, grube kable, pręty ułożone w kształty klatek, wreszcie ludzi, zastęglých w biegu lub leżących na ziemi, spotworniałych w ostatniej chwili życia.

Był wśród nich mężczyzna, który zamiast uciekać do wyjścia, patrzył na wschód, osłaniając dłonią oczy. Anna podeszła bliżej i uniosła głowę, żeby lepiej widzieć jego twarz. Przeszło dwadzieścia lat temu spoglądał w sam środek eksplozji, widział, jak pęka niebo, jak z ognia powstają ruiny – dzisiaj obserwował Annę, a na jego ustach błąkał się uśmiech. Trzy miesiące wcześniej, gdy po raz pierwszy przekroczyła bramę, wargi mężczyzny tworzyły smutną, ostrą linię. Dzień po dniu w czarnym kamieniu rodził się uśmiech. Dookoła mogła wysledzić mnóstwo podobnych, choć niewielkich zmian: zaciśnięte powieki i zmarszczone brwi, usta otwarte do krzyku. Czasami myślała, że to tylko wyobrażenia, ale patrząc w oczy mężczyzny, zyskiwała pewność, że wszystko jest prawdą. Dlatego pomimo coraz skromniejszych zapasów wciąż przychodziła na tereny fabryk, wciąż wracała.

– Dzień dobry – szepnęła, opierając czoło o skałę ciała.

Gdy nie odpowiedział, weszła pomiędzy czarne, nieruchome postacie.

Pod stopami czuła znajome, rezonujące pulsowanie, przypominające bicie serca. Ziemię, ludzi, a także stal wypełniało tętnienie, do którego Anna nieświadomie dostosowała rytm kroków i oddechów. Przypuszczała, że dzikie miejsca na swój pokrętny sposób żyją i są głodne, cholernie głodne, wiecznie nienasycone. Rozumiejąc, że nie powinna tracić czasu, skierowała się do jednego z magazynów. Troskliwie przeszukiwała każdy zakamarek, którego jeszcze nie poznała, i chowała do plecaka te przedmioty ze starego świata, które mogły okazać się cenne: książki, alkohol, narzędzia czy popsutą elektronikę. Łupy zazwyczaj zabierała do Azylu lub siedzib okolicznych gangów i wymieniała na jedzenie.

Początkowo nie zauważała, że w głębi hangaru pulsowanie zyskało na sile (wszystko było bardziej zimne, bardziej dzikie), ale w końcu jej wzrok przyciągnął lepki, mięsisty przewód, tłoczący smołę na podobieństwo czarnej żyły. Niepewnie musnęła go dłonią i poszła tam, gdzie ją zaprowadził, gdzie jeszcze nie była, przez ciemne korytarze oraz zagracone hale, do centrum fabryki.

Widok był przerażający.

(Odurzający).

Anna długo, bardzo długo stała w mroku, przyglądając się człowiekowi na poły wtopionemu w ścianę, rozdartemu, z okablowanymi wnętrznościami i czarnym, wciąż żywym sercem. Kiedy w końcu go dotknęła, jej twarz, tak jak twarz okaleczonego mężczyzny, wykrzywił grymas bólu. Chciała krzyczeć, Boże, chciała krzyczeć, ale nie mogła oddychać, na moment, na ułamek sekundy stała się fabryką, czuła wszystko, strach, głód, czas, nigdy niekończący się czas – czas, którego nie ma.

Oderwała ręce od czarnego serca, zatoczyła się i upadła. Zauważyła kleistą maź, pokrywającą opuszki palców, oraz pociemniałe, zakażone żyły po wewnętrznej stronie nadgarstków. Wstrząsnął nią suchy, gryzący kaszel. Jeszcze jeden dzień, powtórzyła w myślach, o jeden dzień za dużo. Nie powinnam była tu wracać.

Podniosła wzrok na człowieka wplecionego w płaskorzeźbę drutów i przewodów, jego usta znaczyło cierpienie, a oczy patrzyły błagalnie, dlatego wstała i wyjęła z plecaka rewolwer. Choć ciężki i stary, dobrze pasował do dłoni. Anna była zdolnym strzelcem, kula trafiła idealnie, w sam środek, w samo serce.

Fabryka zatrzepotała niczym schwytyany motyl.

I wtedy świat wybuchł: hangary rozpadały się na odłamki, w powietrzu wirowały błyszczące szrapnele, skrawki cienia, gorące iskry. Ostatnim życzeniem fabryki było pożreć, wchłonać, zmiażdżyć i żyć dłużej, zawsze żyć dłużej. Anna wiedziała, że jeśli chce przetrwać, musi uciekać, ale poruszała się z trudem. Jeszcze jeden krok, pomyślała z przekąsem, jeszcze tylko jeden krok. Popiół wypełnił powietrze.

Brodząc przez smary i gruz, dotarła na dziedziniec. Choć widziała już wyjście, miała coraz mniej czasu. Była wyczerpana. Spozrzęgała, że tatuaże zakażenia objęły całe przedramię, z nosa pociekła ciemna,

CHŁOPIEC, KTÓRY NIE RZUCAŁ CIENIA

(*The Boy Who Cast No Shadow*)

THOMAS OLDE HEUVELT

Mam na imię Patrz. Zapewne czytaliście o mnie w gazetach, może widzieliście w telewizji. Jestem chłopcem bez cienia. Możecie oświetlić mnie tyloma reflektorami, iloma zechcecie, ale nic na to nie poradzicie. Fizycy twierdzą, że jestem cudem ewolucji. Amerykanie sądzą, że jestem tajną bronią, zapewne rosyjską, bo Al-Kaida byłaby na to za głupia.

Chrześcijanie mówią, że jest we mnie coś boskiego. Mama nazywa mnie aniołkiem, ale ziemskiego typu. Nie jestem aniołem. Jestem po prostu Patrz. Chciałbym wiedzieć, co to znaczy.

Mówią, że to ma coś wspólnego z moimi genami, ale nikt nie wie, jak to dokładnie działa. Struktury molekularne i przenikanie światła, bla, bla, bla. Mam to gdzieś, bo i tak nie potrafią tego zmienić. Nie znajdziecie cienia po moją brodą, pachami czy zębami, bez względu na to, jak mocno mnie oświetlicie. Podobno wyglądam przez to tak, jakbym był dwuwymiarowy. Ja sam nie wiem jak wyglądam, bo nie mam odbicia. Na moim lewym biodrze widnieje blizna w kształcie znaku zapytania. To pamiątka po połóżnej, która wypuściła mnie z rąk, gdy stanęła ze mną przed lustrem. Mama opowiedziała mi, że w lustrze było widać tylko unoszącą się w powietrzu pępowinę, a pielęgniarka wrzasnęła i wybiegła z sali. Na zdjęciach wykonanych po porodzie widać sporo *ochów*, *achów* i *buzi-buzi* – brakuje tylko dziecka. Jedyne nośniki, na których udało się utrwalić mój wygląd, to sonogramy mojej matki. Wykorzystują dźwięk, nie światło.

– Powinieneś być dumny ze swoich genów – mówią zawsze mama i tata. Moi rodzice są założycielami Parafii Progresywnej, czyli lokalnej partii politycznej, która wielbi bycie innym. Typowa rozmowa na zebraniu:

- Właśnie adoptowaliśmy małego Filipięczyka.
- No coś ty! Nasz syn jest gejem.
- Serio? A nasz nie rzuca cienia.

Szach mat. Tego nikt nie przebiję. Mama uprawia jogę i „jest zen”. Tata woli gotować dla bezdomnych niż dla nas. Tak, jak to bywa w przypadku wielu złamanych serc – siła na dobroczynność starcza im do czasu, gdy wrócą do domu.

Przez siedem lat rodzice utrzymywali moje przedziwne właściwości w tajemnicy. Nie trzeba jednak być Einsteinem, żeby się domyślić, że coś takiego musi w końcu wyjść na jaw. Pewnego dnia dwaj mężczyźni w ciemnych okularach porwali mnie z klasy i wtoczyli do opancerzonego samochodu, po czym wstrzyknęli mi coś w ramię. Przebudziłem się w bazie wojskowej w Stanach Zjednoczonych, gdzie zespół naukowców i agentów badał mnie przez kolejne cztery miesiące. Przez pierwsze trzy tygodnie twierdziłem, że przybyłem z Marsa, a moim celem jest przejęcie całkowitej kontroli nad światem. Potem zrobili się wyjątkowo nieprzyjemni i zaczęli mi grozić. Pewnego ranka wpadłem w szał, gdy stwierdziłem, że wycięli mi z tyłka kawał skóry, żeby wyhodować na nim bakterie. Powiedziałem im, żeby się pierdolili, ale jeszcze w tym samym tygodniu oznajmili, że na nic im się nie przydam, i pozwolili mi wrócić do rodziców. W ramach

rekompensaty za niedogodności zaproponowano nam artykuł w „National Geographic”. Z początku moi rodzice odmówili i zaczęli rozważać wystąpienie na drogę sądową. Później jednak zorientowali się, że ludzie, którzy mnie porwali, nie podlegali władzy jakichkolwiek sądów. Biorąc pod uwagę, że medialny szum stanowił prawdziwą żyłę złota dla Parafii Progresywnej, rodzice szybko zmienili zdanie.

A co do mnie, to stałem się gwiazdą. Piękne dzięki. Gdy występowałem w Oprah Winfrey Show, nie nałożyli mi makijażu, bo stwierdzili, że unosząca się w powietrzu maska bez oczu i ust będzie wyglądała zbyt strasznie w telewizji. W praktyce wyszło to tak: w telewizji byłem kompletnie niewidoczny, więc wszyscy widzowie – poza tymi siedzącymi w studio – zobaczyli poruszające się ubrania. Podnosiłem różne przedmioty i stawiałem za ekranem na podczerwień, żeby udowodnić, że istnieję. Kiedy Oprah spytała, jak traktowali mnie naukowcy, odpowiedziałem:

– Myślę, że rząd nie ma prawa eksperymentować z moim tyłkiem.

Musieli po tym wyłożyć trzy miliony na wyciszenie sprawy, a mimo to wciąż napływały oskarżenia o molestowanie seksualne. Frajerzy.

Pewnie pomyślelibyście, że to taki jednorazowy strzał. Nic z tych rzeczy. Przez najbliższe kilka lat nasz trawnik był zdeptany przez ekipy telewizyjne, próbujące złapać jakieś ujęcie ze mną. Co, technicznie rzecz biorąc, jest zupełnie niemożliwe. Zgłosiło się do nas dwadzieścia cyrków i dwadzieścia trzy salony osobliwości – w tym Ripleya – oferując astronomiczne kwoty za możliwość pokazania mnie widzowi. Dwieście sześćdziesiąt osiem razy okrzyknięto mnie świętym. Na *Googlu* mam 29 milionów wyników, tyle co Brad Pitt. Odłotowo, mama i tata mogą być tacy inni. Problem zaczyna się w momencie, kiedy to ty jesteś inny. Wszyscy wiedzą, kim jestem. Wszyscy – poza mną.

Okruch kiedyś powiedział, że to sny świadczą o tym, kim jesteś. Tylko że ja nie śnię. Wielu ludzi to mówi, ale ja naprawdę nie śnię. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, co to sen. Niezliczone elektroencefalografie, które przeszedłem, wskazują na to, że mój mózg wykazuje absolutnie zerową aktywność podczas fazy REM. Nigdy nie powiązali tego z moją przypadłością, ale co tam. Pewnie właśnie dlatego nie mam przyjaciół, uczuć czy wyobraźni. Brak mi celu. Brak mi głębi. Jakby mi to robiło różnicę.

Moim jedynym marzeniem jest chyba odnalezienie swojego odbicia. Skoro nie mam pojęcia, jak wygląda moja twarz, to jak mogę wiedzieć, kim jestem? Wiecie, jak to jest ze świętymi i gwiazdami. Rozpina się ich na krzyżach, żeby inni mogli patrzeć jak konają i szczać na ich cienie.

Przybycie Okrucha Rozenberga odmieniło wszystko.

Miałem wtedy czternaście lat i wiodłem względnie spokojne życie. Medialny szał w końcu przycichł, jak to zwykle bywa z szałami. Przeprowadziliśmy się kilka razy w obrębie naszego zabitego dechami miasteczka, a w zamian za oświadczenie, że

OBROŃCY

(Defenders)

WILL MCINTOSH

W mgnieniu oka Lila straciła kontakt z resztą świata. Cisza była wstrząsająca, poczucie odizolowania wytrącało z równowagi – częściowo z powodu świadomości, że w takim razie odrzutowiec musiał już pokonać barierę Obrońców i wlecieć w przestrzeń powietrzną Australii. Przez chwilę wpatrywała się tępo w pojedyncze kosmyki siwych włosów widoczne ponad oparciem fotela z przodu; siedziała tam Gayatri Nadal, ambasador z Indii. Potem Lila wyjrzała przez okno.

Nic jeszcze nie było widać; nadal znajdowali się ponad zadymioną warstwą chmur. Trudno było uwierzyć, że tam w dole wciąż leży Australia. Minione dwadzieścia osiem lat nadało jej w oczach Lili niemal mityczny wymiar, a świadomość, że lada chwila ją zobaczy, zobaczy, jak teraz wygląda, sprawiała, że serce biło jej mocniej.

Siedzący obok Lili ambasador Hiszpanii odwrócił się, jakby po raz pierwszy ją zauważył.

– Zdenerwowana?

Skinęła głową. Słowo to w najmniejszym stopniu nie oddawało wszystkich odcieni i zawłości uczuć, które targały Lila, ale mogło posłużyć za pewne przybliżenie.

Hiszpan zmarszczył białe brwi.

– Byłaś już w ogóle na świecie podczas inwazji Luytenów? – Bolibar. Przypomniała sobie jego nazwisko. – Widziałas kiedyś Obrońcę?

Lila zaśmiała się, niepewna, czy starał się jej schlebić, czy rzeczywiście myślał, że nie dobiegła jeszcze trzydziestki.

– Och, widziałam Obrońców. I Luytenów.

Zamknęła usta. Nie chciała drażnić tematu. Była najmłodszym z ambasadorów w samolocie i ostatnie, czego by sobie życzyła, to sprawiać wrażenie niedojrzałej, rozklejając się jeszcze przed wylądowaniem.

– Ach, przepraszam – powiedział, odczytując wyraz jej twarzy – Byłaś jeszcze dzieckiem? Przepraszam.

Ze drugim razem niewątpliwie miał na myśli poruszenie bolesnego tematu. Niegrzecznie było wspominać o inwazji Luytenów, jeśli nie było się pewnym, że rozmówca nie ma nic przeciwko.

– Nic się nie stało. Wszyscy mamy swoje wspomnienia z inwazji. – Zmusiła się do uśmiechu i odwróciła do okna, ale było już za późno. Pędzili w stronę Australii, aby nawiązać pierwszy od dwudziestu ośmiu lat kontakt ludzkości z jej wybawcami, a wspomnienia Lili wzięły górę. Zobaczyła Luytenów, olbrzymie rozgwieżdżone spadające z nieba, wirujące to w jedną, to w drugą stronę, i zabójcze błyskawice wystrzelające z końców ich pięciu, sześciu albo siedmiu prymitywnych odnóży. Lila zacisnęła dłoń na podłokietniku, chcąc poddać się wspomnieniu, dać mu wybrzmieć, jeśli musi. Nauczyła się już, że opór nie daje, tylko głębiej ją wciąga, jakby znowu to wszyst-

ko przeżywała – a gdyby odezwał się jej zespół stresu pourazowego, ambasada mogłaby po prostu wycofać ją przy pierwszej okazji.

Skupiła się na kontrolowaniu oddechu, przed oczami mając siedmioletnią siebie wbiegającą do szkoły służącą za schronienie. Ziemia trzęsła się od eksplozji, a powietrze przeszywały trzaski śmierzdzących palonym potem elektrycznych płomieni Luytenów.

„Gdzie oni są? Gdzie są Obrońcy?” – wołał jakiś głos, kiedy stłoczeni w stołówce przyglądali się jak ludzkie wojsko przygotowuje na zewnątrz obronę. Żołnierze wycelowali broń w różnych bliżej nieokreślonych kierunkach, wiedząc, że czego by nie zrobili, Luytenowie i tak zawsze będą o krok przed nimi.

A później – ten pierwszy raz, kiedy ujrzała Luytena z bliska: był znacznie większy, niż się spodziewała, wypadł z drzew na trzech odnóżach, pędził nad huśtawkami i zjeżdżalniami, wyciągając wolne ramiona przed siebie; oślepiający błysk, wrzaski płonących żołnierzy, z których większość zwrócona była w przeciwnym kierunku. Bo jak niby walczyć z przeciwnikiem, który zna każdą twoją myśl?

Lila zacisnęła oczy, kiedy kolejne pół tuzina Luytenów wyłoniło się z lasu. Starła się myśleć o czymś przyjemnym – o „Figlarnej Syrence”, jej ulubionym programie telewizyjnym. Postanowiła nie otwierać oczu i myśleć tylko o nim, dopóki nie będzie po wszystkim.

Później: jej ojciec wybiegający na zewnątrz razem z innymi rodzicami, aby podjąć walkę, bo wszyscy żołnierze już polegli, a Luytenowie byli o krok. Rodzice usiłujący dotrzeć do prowizorycznego bunkra i podnieść broń leżącą pośród spopielonych ciał żołnierzy. Pamiętała, jak nauczyciel wiedzy o społeczeństwie zamachnął się toporem strażackim na nacierającego Luytena, a ten smagnął go ręką przez pierś jak biczem, przecinając go w pół.

Później: ciepły strumień moczu spływający po udach, gdy ten mdły głos – z jego niemożliwym akcentem – wołał z zewnątrz: „Wkrótce koniec. Myśl o Figlarnej Syrence. Wkrótce będzie po wszystkim”.

Matka drżącymi dłońmi zakrywająca jej oczy, nie dość dokładnie, bo między palcami mamusi Lila widziała staw barkowy tatusia, kiedy Luyten wyrwał mu rękę. Ich obłe, bezpalce kończyny były zwodnicze, bo wyrastające na końcu ręki pełniły funkcję długich, potężnych palców.

Później: wiwaty, kiedy dwóch Obrońców zeskoczyło z dachu szkoły. Na trzech guzowatych, białych jak kreta nogach byli wręcz niemożliwie wysocy; z wbudowanych karabinów miotali pociski wielkości kul armatnich, a ostrymi jak brzytwa egzoszkieletami rozcinali cielska Luytenów, którzy miotali się, rozlewając po placu zabaw parującą, zieloną maź. Wiwaty wezbrały na sile, kiedy

TO, CO ZA CHWILĘ UJRZYCIE

(What You Are About to See)

JACK SKILLINGSTEAD

To siedziało w zimnym pomieszczeniu.

Na zewnątrz żołnierz piechoty morskiej podał mi kombinezon ochronny, który założyłem na swoje codzienne ubranie. Strażnik wbił kod na przytwierdzonej do ściany klawiaturze. Zamek w ciężkich drzwiach otworzył się, żołnierz kiwnął głową, a ja wszedłem do środka.

Andy McCaslin, który w swoim kombinezonie wyglądał jak przesadnie odstawiona rzepa, powitał mnie i uściśnął mi rękę. Zналиśmy się od dwudziestu pięciu lat, od czasów kiedy służyliśmy w jednostkach specjalnych. Teraz obaj pracowaliśmy w N.S.A, choć w moim przypadku akronim ten należałoby pisać małymi literami. Jako pracownik kontraktowy Agencji skutecznie wydobywałem informacje z niechętnych mi źródeł. Moja praca wymagała szczególnego usposobienia, które ja posiadałem, zaś Andy z pewnością nie. Szczerze wierzył we właściwość sprawy, procedury, w dobrych i złych facetów. Ja natomiast byłem niczym jego mroczny bliźniak. On stał w świetle rzucając mroczny i pozbawiony twarzy cień, którym byłem ja.

To wciąż siedziało – jeśli można było nazwać to siedzeniem. Jego sześć nóg było zwiniętych i splecionych w coś przypominającego gniazdo lawendowych węży, na którym spoczywał delikatny obcy tułów. Wyglądał niczym klatka piersiowa głodującego dziecka: wystające żebra schowane pod skórą koloru pergaminu oraz spuchnięty brzuch wypełniony pustką. Obserwowało nas swymi oczyma wyglądającymi jak dwa odłamki antracytu.

– Witaj w nowym porządku świata – powiedział Andy. Jego oddech wydobywał się pod postacią małych szarych obłoczków.

– Dzięki. Skalmar już coś z siebie wydobył?

– Powiedział nam, że byłoby dla nas najlepiej, gdybyśmy go puścili, a kiedy tego nie zrobiliśmy, zamknął się. „Zamknięcie się” trochę tu nie pasuje, bo on nie wokalizuje. W głowie słyszysz tylko słowa, czasem widzisz obrazek. W głowie Sekretarza umieścił taką scenkę, że wszyscy zaczęli robić po gaciach.

– Jaką scenkę?

– Rzeź całej planety.

– Brzmi milusio.

– Za kulisami mówi się, że Skalmar po prostu pokazał Sekretarzowi swoje fantazje. No nieważne, przyjmowanie na głowę jego zapewnień o przyjaznych zamiarach nie należy do mnie. Tak między nami to sędzę, że ma dobre zamiary.

– Wyglądasz niemrawo, Andy.

– Trochę źle się czuję.

– Czy Skalmar zawsze tak się gapi?

– Tak.

– Jesteś pewien, że wciąż może się komunikować? Może szkodzi mu otoczenie?

– Z tego, co mówią nasi ludzie od medycyny, to nie. Oczywiście nic nie jest pewne oprócz tego, że Skalmar jest istotą pozaziemską będącą w posiadaniu zaawansowanej technologii. To można jednak pominąć. A swoją drogą, wspomniana zaawansowana technologia jest składowana w okolicznym hangarze. To, co z niej zostało wygląda jak balon meteorologiczny przepuszczony przez niszczarkę. Ironiczne, nie?

– Bardzo. – Skuliłem ramiona. – Zimno tu.

– Zauważyłeś.

– Pewnie Skalmar tak lubi.

– Uwielbia.

– A próbowaliście podgrzać atmosferę?

Andy spojrzał na mnie krzywo.

– Chcesz zmienić procedurę przesłuchania?

– Jeśli bym chciał, nie poszedłbym w tym kierunku.

– Czyli nic w stylu gułagu CIA w Rumunii, co?

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Chciałbym w to wierzyć.

Tak naprawdę to znałem tamto miejsce bardzo dobrze, z tą różnicą, że znajdowało się ono w Gwatemali, a nie w Rumunii. Na samo wspomnienie przypominałem sobie całą gamę przerażających scen. Niektóre z nich miały twarze. Odrzuciłem je bezwzględnie tak, jak zrobiłem to lata temu, po czym zamknąłem w grobowcu, z którego czasem dobiegają mnie ich przytłumione okrzyki.

Andy zbliżył się, a jego twarz zrobiła się wiotka.

– Co się stało?

– Nie wiem. Nagle czuję, jakbym tak naprawdę tutaj nie stał.

Uśmiechnął się niemrawo i myślałem że zaraz zemdleje. Lecz kiedy wyciągnąłem ku niemu rękę, poczułem, że i mnie kręci się w głowie i jestem bezwolny. Zatoczyłem się, jakbym balansował na szczycie wysokiego budynku. Skalmar siedział na kłębowisku węży i się gapił...

...

A teraz powrót do pewnego punktu zwrotnego w życiu Briana Kinney'a, czyli mnie. Dwa lata temu. Jeśli w obecnej sytuacji lata cokolwiek znaczą.

Byłem marnym pijaczyną. Brakowało mi doświadczenia. Mój ojciec natomiast był spełnionym pijakiem. Był praktycznie legendą. Mając go za przykład, wiodłem życie w ponurej trzeźwości, którą mojej żonie udało się przerwać za pomocą niewierności. Nie ważne, że musia-

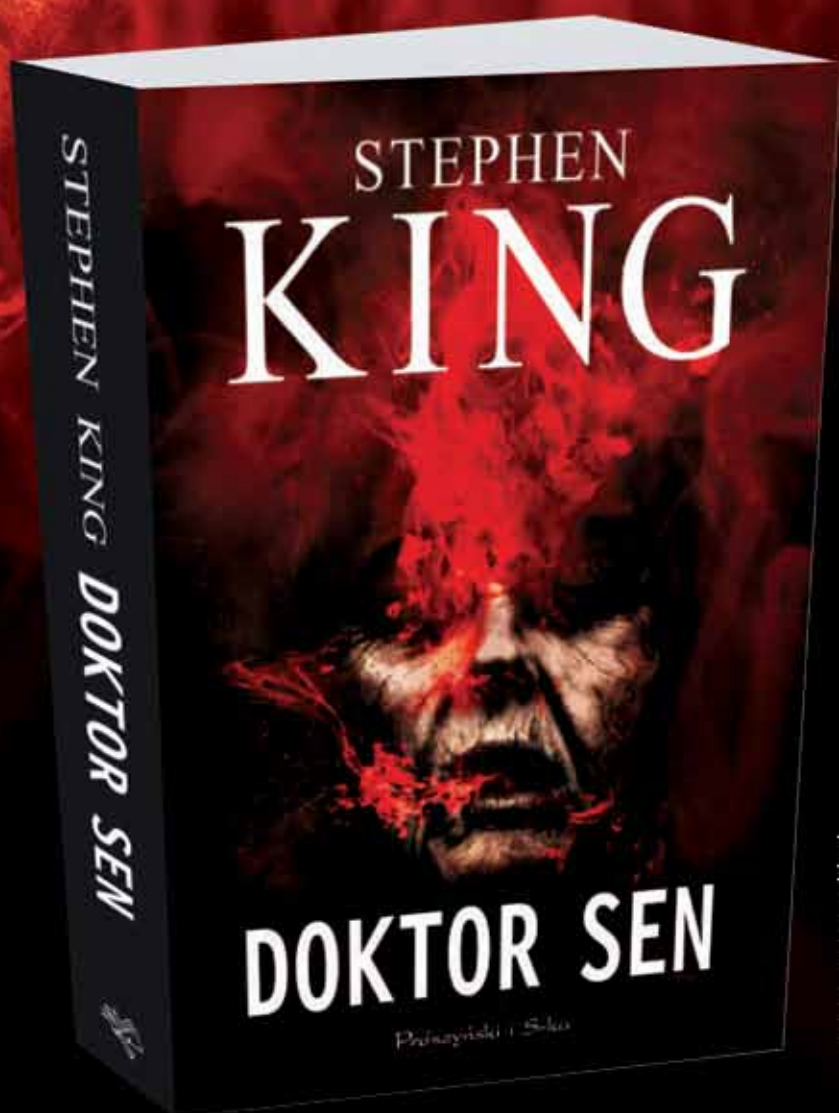
Kontynuacja bestsellerowego „Lśnienia” Stephena Kinga!

KOSZMAR POWRAÇA!

Teraz na pewno nie zdołasz już zasnąć!

STEPHEN KING, DOKTOR SEN

Pamiętacie małego chłopca obdarzonego niezwykłą mocą? Chłopca nękanego przez duchy? Chłopca uwięzionego w odludnym hotelu wraz z opętanym ojcem? Możecie już poznać jego dalsze losy! Nękany przez mieszkańców hotelu Panorama, w którym jako dziecko spędził jedną straszliwą zimą, Dan przez dziesięciolecia błąka się po Ameryce, usiłując zrzucić z siebie odziedziczone po ojcu brzemień beznadziei, alkoholizmu i przemocy. Ostatecznie odnajduje swoje miejsce w małym miasteczku w New Hampshire, we wspierającej go grupie Anonimowych Alkoholików i w domu opieki, gdzie zachowana z lat dzieciństwa resztką mocy pozwala mu nieść ulgę umierającym w ostatnich chwilach ich życia. Staje się znany jako „Doktor Sen”.



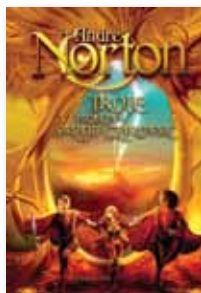
Patronat medialny



WYDAWNICTWO NASZA KSIĘGARNIA „TROJE PRZECIW ŚWIATU CZAROWNIC”



W KTÓRYM ROKU ZOSTAŁ WYDANY
PIERWSZY TOM CYKLU „ŚWIAT
CZAROWNIC”?



Simon i Jaelithe zaginęli bez wieści. Tymczasem los ich dzieci, trojaczków – Kyllana, Kemoca i Kaththei – jest zagrożony. Czarownice odkryły drzemiący w Kaththei Talent i pojmaly ją, aby stała się jedną z nich. Kyllan i Kemoc postanawiają za wszelką cenę uwolnić siostrę ze szkoły czarownic. Brawurowa wyprawa doprowadza do odkrycia dawno zapomnianej krajiny i obudzenia drzemiących tam Moc...

Wśród czytelników, którzy do końca października nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wylosujemy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Nasza Księgarnia.

WYDAWNICTWO AKURAT „WŚRÓD OBCYCH” I „PIĘKNY KRAJ”

JAKA OSOBA
ŁĄCZY WYDAWNICTWO
AKURAT I MIESIĘCZNIK
„NOWA FANTASTYKA”?



Mor traci siostrę bliźniaczkę w wypadku samochodowym, sama zostaje kaleką. Ucieka od zaborczej matki i trafia do szkoły z internatem. Zagubiona i samotna szuka pomocy u wróżek – eterycznych, niewidocznych dla innych ludzi istot, towarzyszy jej dziecięcych zabaw. Chłopak spotyka dziewczynę. Chłopak traci dziewczynę. Chłopak kradnie wieki czasu i próbuje uratować dziewczynę przed zbliżającą się zagładą. ... Wiecie, jak to jest.

Wśród czytelników, którzy do końca października nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wylosujemy 6 laureatów, z których każdy otrzyma dwie książki ufundowane przez Wydawnictwo Akurat.

WYDAWNICTWO ZNAK „CZAR LA. POSZUKIWACZE”

znak emotikon

KTO JEST AUTOREM ILUSTRACJI
W KSIĄŻCE „CZAR LA”?



Eva Dziewięć nigdy nie widziała innego człowieka. Ani słońca, nieba czy drzew. Tak właściwie to nigdy nie opuszczała swego podziemnego domu. Wszystko zmienia się, gdy na jej bezpieczne schronienie napada groźny stwór Bestiil, który czyha na jej życie.

Eva zmuszona jest uciekać. Na powierzchni okazuje się jednak, że jest tam jedynym człowiekiem. Świat zamieszkuje najróżniejsze istoty, niepodobne do niczego, o czym Eva dotąd się uczyła.

Wśród czytelników, którzy do końca października nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wylosujemy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Znak.

WYDAWNICTWO PRÓSZYŃSKI S-KA „DOKTOR SEN”

Prószyński i S-ka



W KTÓRYCH FILMOWYCH
ADAPTACJACH SWOICH POWIEŚCI
WYSTĘPOWAŁ STEPHEN KING?

Kontynuacja bestsellerowego „Lśnienia”!

Pamiętacie małego chłopca obdarzonego niezwykłą mocą? Chłopca nękanego przez duchy? Chłopca uwięzionego w odludnym hotelu wraz z opętanym ojcem? Możecie już poznać jego dalsze losy!

Wśród czytelników, którzy do końca października nadeślą poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wylosujemy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Prószyński S-ka.

